



- 1935r -

BORUTA

PODANIA

ŁÓDŹ

1935

WYDAWN. ŁÓDZKIEGO OBYWATELSKIEGO KOMITETU
RATOWANIA ARCHIKOLEGJATY W TUMIE ŁĘCZYCKIM

8000
Dar
W. Lisowski
Archiwum
dla

Minister B. i A. Publ.

21
No. *1468* dn. *25/10/48*

8000
- 1935 R. - *X*

BORUTA

PODANIA

WYBRAŁ I POPRZEDZIŁ WSTĘPEM
ZYGMUNT HAJKOWSKI

398
ŁÓDŹ

1935

WYDAWN. ŁÓDZKIEGO OBYWATELSKIEGO KOMITETU
RATOWANIA ARCHIKOLEGJATY W TUMIE ŁĘCZYCKIM



ODBITO W ZAKŁADACH GRAFICZNYCH „DRUKARNIA POLSKA”
LUDOMIRA MAZURKIEWICZA I S-KI, SP. Z OGR. ODP. W ŁODZI





Zawarte w książeczce niniejszej opowiadania o Borucie należą w najściślejszem tego słowa znaczeniu do tradycyjnej regionalnej twórczości literackiej. Powstały one w okolicach Łęczycy i są tworem wyobraźni tutejszych ludzi. Niepodobna dziś ustalić bliżej ani czasu powstania tych podań, ani też wskazać ich twórców. Nie można również, przynajmniej obecnie, ustalić historycznego rodowodu głównego bohatera tych klechd — Boruty. Najstarsze polskie książki z zakresu demonologii nie wspominają o nim. Niema o Borucie wzmianki ani w „Postępku prawa czartowskiego“ z roku 1570, ani w „Sejmie piekielnym“ z roku 1622, a mówi się tam o takich djabłach z polskimi nazwami, jak Wilkołak, Harab, Strojnał, Kierdos, Szczebiot albo Markot, Węsad, Kozyra albo Bierka, Smieszek, Smółka, Wicher, Rogalec, Latawiec, Lelek nocny, Klekot, Paskuda. Daremnie szukać wiadomości o Borucie u takiego erudyty, jak ks. Benedykt Chmielowski, autor osławionej encyklopedji Nowe Ateny albo Akademia wszelkich sciencyej pełna (r. 1753), chociaż cały jeden rozdział poświęca autor bardzo wyczerpującym wiadomościom o naturze i sprawach czartów. Czy z tego ma wynikać, że znane dziś podania o Borucie powstały dopiero później? B. S. Linde w swym słowniku języka polskiego

pod wyrazem Boruta pisze: „djabel borowiec, błotnik, zły duch, podług wieśniackich baśni mieszkający na błotach, lgniączkach“. Każdy więc djabel, mieszkający w borach, na moczarach, według tego wyjaśnienia, nazywał się borutą lub borowcem. W takim znaczeniu ogólnem, niemal rodzajowem spotykamy się z Borutą w różnych stronach Polski — na Mazowszu, Podlasiu, w Hrubieszowskim i Zamojskim. Z drugiej atoli strony uważne przeczytanie niektórych przynajmniej zawartych w tej książeczce klechd prowadzi do stwierdzenia, że Boruta łęczycki jest djabłem o bardzo wyraźnej indywidualności, o właściwym sobie zakresie działania i o swoistym charakterze sprawek i psot. Jego życie i działalność łączy się najściślej z podziemiami zamku łęczyckiego, z rozległymi niegdyś błotami między Łęczycą a Tumem oraz z prastarą archikolegją. Może właśnie ten wąski teren działania na głębokiej prowincji, która już od w. XV znajdowała się zdala od głównych ośrodków polskiego życia kulturalnego i politycznego, — sprawił, że tworzące się wtedy klechdy o Borucie nie wyszły poza obręb ziemi łęczyckiej. Może natomiast sporo ciekawego materiału do obchodzącej nas sprawy znaleźćby można w sądowych księgach łęczyckich, które należałoby w tym celu zbadać. Dziś jednak, chcąc wyjaśnić sobie rodowód Boruty, natrafiamy na szereg trudnych do rozwikłania zagadek.

Natomiast znany jest czas zapisania interesujących nas podań, a więc utrwalenia tych szczegółów, które w przekazie ustnym ulegały niewątpliwie ciągłym zmianom. Romantyzm wytworzył na naszym gruncie ciekawy typ entuzjasty-zbieracza pomników kultury duchowej ludu polskiego. Owocem skrzętnych poszukiwań tych miłośników, przemierzających nieraz pieszo całe połacie kraju, były liczne zbiory pieśni i opowiadań ludowych. Znane są z tej pracy zasłużone nazwiska Oskara Kolberga, Kazimierza Władysława Wóycickiego, Ryszarda Berwińskiego, Romana Zmorskiego i wielu innych. Z ich zbiorów, powstałych mniej więcej w połowie w. XIX, pochodzą opowiadki, zawarte w naszej książeczce.

Z dzieła K. W. Wóycickiego *Klechdy*, Warszawa r. 1837, przedrukowane są opowiadania I i II; z dziełka R. Zmorskiego (pseudonim Zamarski) *Domowe wspomnienia i powiastki*, Warszawa 1854, pochodzi opowiadanie IV. Pozostałe podania Szymanowskiego i Kozerskiego, wydrukowane pierwotnie w *Tygodniku Ilustrowanym* w latach 1862 i 1863, następnie powtórzone zostały w książce O. Kolberga, *Lud — Łęczyckie*, Kraków 1889. Dodany obrazek, wiążący się treścią z opowiadaniem II, jest dziełem znanego artysty-illustratora E. Andriollego i był po raz pierwszy reprodukowany w wydaniu *Klechdy Wóycickiego* r. 1876. W najnowszej literaturze postać Boruty jako motyw literacki zużytkowali Julian Wołoszynowski

(O Twardowskim, synu ziemianki, obywatelu piekiel, dziś księżycowym lokatorze) i Witold Bunikiewicz (Djabły polskie).

J. K(arłowicz) w Wielkiej Encyklopedji Powszechnej Ilustrowanej t. IX podaje, że istnieje opera o Borucie, libretto pióra B. Grabowskiego, muzyka P. Maszyńskiego.

Jaki jest cel naszego wydawnictwa?

Zrodziły je potrzeby natury regionalnej. Interujemy się dziś żywo tem wszystkim, co ma związek z przeszłością naszych stron. Poznajemy zachowane pamiątki historyczne Łęczycy, a przede wszystkim prastarą archikolegją, bezcenny pomnik architektury romańskiej w Polsce. Otóż jedną z osobliwości tych okolic są podania o Borucie: wydobyć je z zapomnianych dziś przeważnie druków i uprzyścić najszerzszym rzeszom czytelniczym — oto cel niniejszej książeczki.

Łódź, lipiec 1935.

I.

BORUTA NA WESELU

W ciemnym lochu łęczyckiego zamku, przy rozpalonej drzazdze (trzasce) smolnej, siedział na beczce jakiś wąsaty szlachcic i pił z antańka. Miał na sobie karmazynowy żupan, pas złotolity, na rzemyku szablę; czapka rogatywka z siwym barankiem nie przylegała mu należycie, jakby coś jej zawadzało; jakoż kiedy chciał się poskrobać po głowie, ujrzał przy ręku pięć ogromnych pazurów, a za uchyleniem czapki małe czarne rogi. Był to djabeł, pan Boruta, co pilnował skarbów zaklętych w zamku, pozostałych w ukryciu od dawnych udzielnych jeszcze książąt Mazowieckich*). Twarz miał wielką, rumianą; wąs potężny, obwisły spadał mu wraz z brodą na piersi; wzrostu wielkiego, szeroki w plecach, oczu iskrzących. Zachmurzony siedział na wypróżnionej beczce po małmazji (wino mocne węgierskie), ale kiedy miał się uśmiechnąć, wąs podkładał w górę i aż za duże uszy sterczące zakładał. „Już dosyć wysiedziałem się w tem loszysku ciemnym i wilgotnym (mówił do siebie Boruta); niema co i pić dalej, ostatni antańek węgryzna za chwilę tę wysączę. Zresztą myślę, że nikt się teraz nie poważy zajrzeć do tych skarbów, a jakoś tu tęskno i nudno. Sto lat tak siedzę na jednym miejscu, gdzie zawsze ciemno, chłodno, ponuro; a na świecie słonko świeci, ptaki i ludzie wesoło śpiewają, kapele brzmią, szlachta ucztuje rada. Trudno wytrzymać dłużej. Hulaj du-

*) Autorzy tych opowiadań mylnie uważają Łęczyckie za część Mazowsza.

sza bez kontusza!*) Zamknę loch i przejdę się po świecie; trzeba jeno ubioru co poprawić, aby dobrze przyjęto gościa“.

U szlachcica Kaliny, o milę od zamku łączyckiego, we dworze ponad błotami i jeziorem, brzmi huczna kapela, wydaje on bowiem zamaż najstarszą córkę. Cma krewniaków i sąsiadów napelniła całe domostwo; beczki z miodem, piwem i wódką stały w sieni, na ganku, w izbach, bo pan Kalina, zamożny szlachcic, dziedzic całej pół-wioski, dobył woru z zapleśniałymi talarami, nie żałując wydatku na tak wielką dla siebie uroczystość. Już było po ślubie, wyłoczono dziezę od chleba, aby na niej pannę-młodą oczepić, a kapela zaczęła brzmieć pieśń starą o chmielu, znaną nietylko na Mazurach, ale w całej Polsce, kiedy we drzwiach ukazał się nowy gość niespodziewany. Ubrany był w karmazynowy żupan, pas złotolity, czapka rogatywka z siwym barankiem, na rzemyku szabla, rękawice czarne, buty z wywijaną cholewą i ogromnemi ostrogami. Jak stanął we drzwiach, całe zawalił; kiwnął głową, nie zdejmując czapki, przeszedł dalej i usiadł na ławie. Kapela grać przestała, pieśń chmielowa ochotnikom na ustach skonała, niewiasty przerażone tuliły się do kąta. Gospodarz, ujrzawszy na wszystkich twarzach pomieszanie, zbliżył się do nieznajomego i rzekł: „Panie bracie! zawsze możecie u mnie jeść chleb z solą, byle z dobrą wolą; ale na teraz nie prosiłem waszeci... więc...“ I wskazał drzwi otwarte. Nieznajomy pokręcił głową na znak, że nie wyjdzie i wybąknął od niechcenia: „Pić“. Pan Kalina kazał podać gą-

*) Kontusz — zwierzchni długi z wyłogami strój szlachecki; żupan, ubiór kładziony pod kontusz; szlachta łączycka nosiła kontusze karmazynowe o wyłogach granatowych i żupany białe.

sior z miodem i czarę, ale nieznajomy czarę rzucił na ziemię, przytknął do ust gąsior i wypił go do kropli. Szlachta łączycka klaszcze z radości, wołając: „To nasz brat“. Nieznajomy uśmiechnął się wesoło, pokręcił wąsy w górę i aż za uszy założył, a widząc beczkę miodu, porwał ją, postawił na stole, czop wyrzucił i rozdziawił paszczę, łykając strumień napoju z szumem tryskający. Wszyscy z podziwieniem otoczyli nieznajomego; niewiasty i panny postawały na stole i ławach, patrząc na pijaka. Nieznajomy łykał, sapiąc tylko nosem; wkrótce uniósł beczkę, potem dobrze przechylił, aż wkońcu niema miodu, wszystko wytrąbił gracko. Wtedy, połową wasa otarłszy z piany usta i brodę, krzyknął: „kapela, chmiela!“ i porwał za rękę pannę-młodą. Wrzasnęła przestraszona dziewczoja, a gdy ją ciągnie, nie zważając na jej trwogę, staje w obronie narzeczonej pan-młody i wyzywa zuchwalca na szable. Nieznajomy ociągał się, ale gdy mu nowożeniec wyciął policzek, że zaledwie przytrzymał czapki na głowie, a od innej szlachty poczuł na karku silne razy, zawołał: „po jednemu! po jednemu proszę z sobą w taniec!“ I wyszedł na podwórze. Zawły psy, jakby wilka poczuły; szlachta wybiegła za nim, żeby nie uciekł; zapalono łuczywa, wyniesiono świece, i zajaśniał podwórzec jakby od słońca w południe.

Nieznajomy dobył szabli i spojrzawszy iskrzącym wzrokiem, gdy pan-młody krzyż święty na ziemi swoim kordem*) znaczył. Aż się skry sypnęły za złożeniem szabli: nieznajomy dobrze się bronił, znał krzyżową sztukę, ale pan-młody zręczniejsz nacierał; widząc zaś, że mu nie podoła, przerzucił z prawej rę-

*) Kord — miecz, szabla, pałasz.

ki kord w lewą, czem odurzony przeciwnik nie dostrzegł cięcia i oberwał potężnie po ręce. Obciął mu dwa palce, spadła czarna rękawica, nieznajomy wypuścił z zakrwawionej dłoni szablę, aż tu kur pieje. Stęknął ranny, podskoczył i znikł z koła otaczającej go szlachty, zostawiając na ziemi pas złotolity, rękawicę zbroczoną i szablę. Gdzie stał, zakipiało trochę smoły, a gryzący zapach siarki uderzył we wszystkich nosy. Pan Kalina podnosi pas, porywa rękawicę, trząsa; wypadają dwa wielkie pazury z kawałkami palców. Pan-młody patrzy na szablę: to pogańska! nie masz na niej znaku krzyża świętego, tylko księżyc turecki. I wołają wszyscy: Boruta! Boruta!

W ciemnym lochu łączyckiego zamku, przy rozpalonej drzazdze smolnej, waśaty szlachcic w karmazynowym żupanie, bez pasa i szabli, czapka rogatywka ale z pociętem suknem i siwym poszarpanym baramkiem, leżał na dwóch próżnych beczkach, lizał rękę okaleczoną z trzema potężnymi pazurami, bo dwóch brakło, i tak prawił do siebie: „Nie wyjdę już więcej na świat. Rano dobrze było, kiedy się wygrzał na słonku; ale wieczorem cóż zyskałem z tą przeklętą szlachtą, z tymi piskorzami*), co klaskali, jakem pił gracko, a potem wyzwali na rękę? Myślałem, że im przecie podołam, aleć oni lepiej robią kordem niż sam djabeł. Zgubiłem pas i szablę, pocięli mi czapkę, skaleczyli rękę, a co najgorsza, poznali, że Borutę obciął“. I kręcił ze złości wąsy, darł brodę, a lizał rękę zranioną. Odtąd już więcej z lochu zamkowego nie wyszedł łączycki djabeł.

*) Bracia-piskorze — tak nazywano szlachtę łączycką, która na podobieństwo piskorzy mieszkała wśród bagien.

II.

SIWY-BORUTA

W pobliżu zamku łączyckiego mieszkał szlachcic niewiadomego nazwiska i herbu, rosty i silny. Nikt z nim mierzyć się nie mógł na szablę, bo za pierwszym złożeniem, potężnym zamachem przeciwnikowi wytrącał oręż z ręki. Jak się raz plecami o zgrab domu oparł, całe sąsiedztwo nie dało mu rady; a wiadomo, że wtenczas nie używano ogniastej broni, tylko szabli. Strzelbę uważano za broń zdradziecką, szablę za honorową. To też ów szlachcic, dzielny rębacz, tak wywijał młynka demeszka*) swoją, że jednym powytrącał szablę z ręki, drugich tak obciąsał, że uciekli jak oparzeni. Stąd nasz szlachcic dostał przydomek Boruty, bo mówiono powszechnie, że musiał mu djabeł Boruta pomagać, kiedy z całego zaścianka**) wszyscy nie podolali mu razem; a że nosił siwą kapotę, dla różnicy więc od prawdziwego djabła dostał przydomek Siwy-Boruta.

Od owej chwili każdy go mijał lub ustępował mu z drogi, nawet w gospodzie rozochociona szlachta, kiedy porwała się do szabli, na sam głos Siwego-Boruty wybiegała do sieni albo na podwórze i tam karbowwała sobie dymiące łysiny.

To uszanowanie, a raczej ta bojaźń sąsiadów, co znali moc zylastej ręki, wbiła go w dumę. Uniesiony

*) Demeszka — głównia szabli dameszkowanej, to jest zdobionej w postaci żyłek powikłanych; tu — szablą z wyborowej stali damasceńskiej.

**) Zaścianek — wieś zamieszkała przez drobną szlachtę.

nią, nieraz się w zuchwałej przechwałce odgrażał, że jak złapie prawdziwego Borutę, to mu żebra połamie albo karku nadkręci, a skarby, których pilnuje, zabierze. Uważano kilkakrotnie, że wtedy słyszeć się dawał w piecu lub za piecem śmiech szyderczy.

Siwy-Boruta kiedy pił, a pił nielada, bo go najtężsi bracia-piskorze nie mogli przepić, zawsze pierwszą czarę wypijał za zdrowie djabła Boruty; a wtedy zaraz rozlegał się głos gruby, przeciągły, jakby z podziemnego lochu: dziękuję waszmości.

Siwy-Boruta miał dużo pieniędzy, ale wkrótce w hulance je roztrwonił; postanowił przeto dostać się do skarbów w lochach łęczyckiego zamku i wziąć z parę mieszków złota od swego miłego panabrata, jak nazywał djabła Borutę. O samej północy, zapaliwszy latarnię, zuchwały szlachcic, ufając swojej sile i szabli, którą dobrze wyostrzył i przymocował do ręki rzemykiem, poszedł do lochów, latarką rozświecając sobie ciemnotę dokoła panującą. Ze dwie godziny chodził po zakrętach, i nareszcie, wybiwszy drzwi jedne żelazne ukryte w murze, ujrzał rozsypane skarby; w kącie, na bryle złota, siedział sam Boruta w postaci sowy z iskrzącymi oczyma. Poznał go odrazu, bo z pod pierza przeglądał kontusz i żupan, rogaływka, buty z cholewami żółte, a szablę dobytą z pochwy trzymał pazurami. Zbladł i zadrżał na ten widok zuchwały dotąd szlachcic i spociał się potężnie ze strachu; po chwili jednak, przyszedłszy nieco do siebie, wyrzekł z cicha z ukłonem i pokorą: „Mnie wielce miłościwemu panu-bratu kląniam unizenie“. Sowa kiwnęła głową, co rozweseliło i ośmieliło Siwego-Borutę. Ukłoniwszy się raz jeszcze, zaczął wypełniać złotem i srebrem

ogromne kieszenie swej kapoty i wory, które przyniósł ze sobą. Tak je wyladował, że ledwie mógł się obrócić.

Już świtać zaczęło, a nasz szlachcic nie przestawał garściami ściągać złoto; w ostatku, nie mając go gdzie chować, począł sobie w gębę sypać, a że miał niemałą, nasypał dosyć, i znowu ukłoniwszy się pierzastemu stróżowi, wyszedł z lochu. Za ledwie stanął na progu, kiedy drzwi się same zatrzasnęły i ucięły mu całą piętę. Kulejąc a krwią znacząc ślady kroków swoich, przeładowany skarbami, dożywając ostatków siły tak dawniej potężnej, ledwie doszedł do swego dworku. Upuścił na podłogę złoto i srebro, wypluł je z napchanej gęby, a sam padł wysiłony i chory.

Odtąd miał dużo pieniędzy, ale stracił zdrowie. Przeszekał krótkie już życie, i gdy w kłótni o międzę graniczną wyzwał sąsiada, szlachcic ten, którego dawniej Siwy-Boruta jednym obalał palcem, pokonał bogacza i zabił. Dworek jego stał pustkami, bo nikt go zamieszkać nie chciał. Djabeł Boruta odtąd często przesiadywał w starej wierzbie, co na podwórzu rosła, skąd odwiedzał także izbę i alkierz*), zabierając i przenosząc pozostałe skarby napowrót do lochów zamku łęczyckiego.

*) Alkierz — pokoik boczny, bokówka.

III.

BORUTA A TUM

Łęczyckie, jak wiadomo, jest ojczyzną Boruty. Niemal tam o nim skazek i podań krąży. Kiedy przed wiekami wznoszono tu dawną kolegiatę, dzi siejszy parafjalny kościół, drażniło to Borutę, że tak pod jego bokiem staje dom Boży w całej chwał swojej. Więc też jak tylko mógł, przeszkadzał ro bocie: straszył ludzi, podkopywał rusztowania, obalał świeżo wzniesione wiązania i mury. Nic to jednak nie pomogło: wytrwałość ludu Bożego przetrzymała siłę czartowską, i po kilkunastu latach budowa stanęła okazała świątynia Pańska. Wtedy Boruta podczas ciemnej i dżdżystej nocy wylazł z błota wsunął się ukradkiem do miasta*) i podszedłszy ku narożnej wieży, objął ją potężną łapą, próbując, czy jej nie obali. Ale wieża oparła się usiłowaniom djabła tylko ślad łapy Boruty pozostał na murze i po dziś dzień można go jeszcze widzieć o kilka łokci od fundamentu.

Jednakowoż Boruta nie dał za wygraną i ukryty w lochach, czekał chwili sposobnej do zemsty: jeżeli nie nad świątynią, to przynajmniej nad tymi, co ją obsługiwali. I zdarzyło się, że jeden z kanoników kolegiaty, zaproszony na imieniny do sąsiada, nie chcąc dla zabawy zaniedbywać służby Bożej, rano przed wyjazdem odmówił razem południowe i nieszporne modlitwy. A kiedy rano wyjeżdża z miasta, na grobli spotyka jakiegoś szlachcica z czupurną

*) Archikolegiata znajduje się nie w mieście, lecz w odległości 2 km od niego.

a buńczuczną miną, z zawieszistym wąsem, z karabelą*) u boku, który pomimo przypiekającego już dobrze słońca, zdjawszy czapkę i odsłoniwszy czuprynę, kłania mu się zdaleka. Był to Boruta. „Dobry wieczór księdzu dobrodziejowi, dobry wieczór“, woła, machając na prawo i na lewo czapką, kiedy bryczka księcia tuż koło niego przejeżdżała. „Mylisz się waszmość“, odpowiedział zdziwiony kanonik, „toż to przecie jeszcze nie wieczór, wszak niedawno słońce weszło“. „A ja myślę, że to wieczór“ — odpowiedział szyderskim głosem Boruta — „kiedy już po nieszpórach“. I zaśmiawszy się szatańsko, dał nurka w błocie“.

*) Karabela — krzywa szabla bez kabłąka o rękojeści ozdobnej.

OSTATNI FIGIEL BORUTY

Od czasu jak temu biesowi na weselu u p. Kaliny pan-młody dwa palce odrąbał, nie wychodzi on już więcej z lochów łęczyckiego zamku i teraz nie wodzi już kmiotków po topielach. Ze Boruta już się teraz nie zjawia, to prawda; ale w aktach kryminalnych po-pruskich grodu łęczyckiego są autentyczne dowody, że go bagatelna, nawet dla szlachcica a cóż dopiero dla djabła, przygoda z zięciem Kaliny na krótko tylko w lochach zatrzymała, że wylizawszy się z rany, długo jeszcze hulał po bagnach i trzcinach Bzury, i że dopiero chłopska kłonicia dokonała tego, czego szlachecka szabla zrobić nie zdołała.

Było to za rządu pruskiego. Łęczycę fortyfikowano tysiące okolicznych chłopków codziennie pędzonych do kopania szańców i sypania wałów; siły ustawały sprężają się niszczył, a kmiotki gorzko utyskiwali nie szczędząc przybyszom przekleństw i szczyrych życzeń, aby się Boruta z nimi popieścił.

Wieczorami powracali do wiosek, poza błotom położonych, a Boruta, jakby w spółce z Niemcami będący, przedziergając się: to w kozła wskakującego na wóz, to w bernardyna proszącego o przewiezienie przez kałużę, to w dzikiego niby postrzelonego kaczora, który, zrywając się i zapadając co kilka kroków, wabił za sobą w chrapy*), to przybierając liczne inne postacie, co wieczór — tego w błocie znurzał, tamtemu konia zatopił, innego całą noc po

*) Chrap — zarośla na miejscu wilgotnem, sap, bagno, błoto.

topielach wodził, dopóki chłopiek, postrzegłszy zdradę biesa, nie odegnał go znakiem krzyża świętego, przed którym opętaniec jak oparzony uciekał, napędzając echem głośniego śmiechu odległe chrapy trzęsawiska. Nazajutrz, przy dalszej pracy w szańcach i na wałach, opowiadano sobie one przygody, których rzadko kto nie doznał.

Był wszakże Stacho, parobek z Topoli, kościelnej wsi po tamtej stronie błot względem Łęczycy o pół mili położonej, zawsze trzeźwy, znający dokładnie wszystkie twardsze drożyny na błotach i umiejący nawet rozpoznać je w noc ciemną; ten nie miał jeszcze żadnego spotkania z Borutą, bo też zwykle, jadąc przez błota, odmawiał sobie półgłosem: „Pod Twoją obronę uciekamy się, Święta Boża Rodzicielko“ itd. Pewnego wieczora atoli, zapóźniwszy się nieco i marząc o wczorajszej hulance na weselu brata, jakos zamiast nabożnej pieśni nucił chmiela, popędzając strudzone koniki. Wtem nagle chrapanąwszy, szkapy uskoczyły w bok, i w jednej chwili Stacho, wywinąwszy kozła w powietrzu, upadł na dróżkę, a konie grzęzną i szarpia się w ubocznem bagnisku. Zrywa się Stacho, chce chwycić wypadłe z rąk lejce, a wtem tuż obok siebie słyszy przeciągłe: he-he-he! Wzdrygnął się, bo... oczywiście śmiech to Boruty. Jakoż, o dziwo! przy jasnem świetle księżyca, który błyszczał jak rybie oko, obok kępy trzcinowej, tuż przy drodze, widzi czarny od stóp do głowy potwór z wywiedłą, żółtawą twarzą; w szerokich ustach, z których wystaje kilka dwucalowych zębów, trzyma krótką fajeczkę; na głowie, zamiast czapki, duży nietoperz; ubrany był w aksamitny kaftan z wielkimi białymi guzami, w takiej majtki, u kolan białymi sprzączkami spięte; cieniutkie ko-

marze nóżki odziane miał w czarne jedwabne pończochy i pantofle zdobne białymi sprzączkami; na koniec już nie jeden, jak zwykle u biesów, ale dwa ogony: jeden jastrzębi spadał od stanu kaftana, drugi jakby bawoli, wychodząc z pod pirożystego kapelusza, na plecach się wałęsał. „W imię Ojca i Syna, czy ty bies Boruta?“ krzyknął Stacho, zerpnąwszy odwagi w znaku krzyża świętego. „Ja, ja!“ usłyszał odpowiedź. Tak wyraźne przyznanie żadnej już nie pozostawiało wątpliwości. Chwyta więc Stacho za kłonicę z przewróconego woza, i silnem uderzeniem w czerep biesa powala go w błoto, które prysnęło na wszystkie strony. Wrzasnęło spłoszone dzikie ptactwo, czarny nietoperz wyskoczył do góry, pogoniły za nim małe nietoperze, i upadł opodal. Po tem zwycięstwie, mówiąc: „Pod Twoją obronę“ odprzągnął Stach splecione konie, ułatwił im wydobyć się z błota, podniósł przewrócony wóz, założył znowu konie, i nie oglądając się podążył do Topoli.

W oknach karczmy jasno, migają się tancerze, bo u Mazurów wesele trzy dni trwać zwykło. Nieobecność Stacha, starszego drużby, zwróciła uwagę; gdy się więc we drzwiach ukazał, sypnęły się nań wymówki i zapytania o powód tak późnego przybycia. „Co ty znowu bajesz? biesa-ś uśmiercił? alboż to taka łatwa z nim sprawa? a ileż to on już szlachty, choć zbrojnej, w bagnach natopił? cóż ty mogłeś z nim począć? może-ś mu biczem leb uciął jak wróblowi na konopiach? oj, zuchujesz, boś go jeszcze nie spotkał? ale przyjdzie kreska na Matyska, a ze strachu sto razy pacierz zaczniesz, a nigdy go nie skończysz“. „Baj baj! a ja wam zaręczam, że Borutę tak kłonicą w leb uczęstowałem, że już więcej nikogo kusić nie będzie; leży tam pod trzcina, leb ugrzązł w chrapie,

M.
B. P.
32819
a jeno indycy ogoni i nogi na wierzchu zostały“. Tu Stacho opowiedział całą przygodę. Jedni nie dowierzali, a inni twierdzili, że chociażby i w kawalki biesi czerep się rozeciał, to się napowrót zrośnie, bies ożyje i jeszcze bardziej będzie dopiekał. Ten argument trafił do przekonania wszystkich, a nawet Stacho zdawał się nim być bardzo zakłopotany. Wszyscy niecierpliwie oczekiwali dnia, aby udając się znowu do robót szańcowych, mogli się naocznie o stanie rzeczy przekonać.

Nazajutrz prawie cała wieś wybrała się ku Łęczycy, odważniejsi na czele, a między niemi Stacho. Serce mu biło z obawy, czy tylko djabeł nie ożył. Prowadzi gromadę krętymi drózkami, wymijając trzęsawiska i topiele. Każdy po cichu odmawia pacierze. Nagle cofając się krzyknął Kuba: „Jezus, Marja, Józef!“ Wszyscy jak fala cofnęli się kilka kroków, nie jednak nie widząc. Po chwili, gdy żadne niebezpieczeństwo nie groziło, pytają się Kuby, czy co widzi. Ten wskazał tylko szpadlem, który trzymał w ręku, na krzak rokiciny*). Wzdrygnęli się wszyscy, dostrzegłszy wpośród gałęzi czarne jakieś skrzydlate straszidło. Obchodzą krzak zdaleka i Stacho poznał nietoperza, który za kapelusze Borucie służył; jedno tylko skrzydło, zapewne kłonicą przetrącone, wisiało obok na małej żyłce. Z kierunku, w którym wczoraj wyskoczył ów nietoperz, wniósł Stacho, że i sam Boruta za kępą trzciny, którą przed sobą widzieli, leżeć musi. Nie śmiąc dotknąć zaklętego czarciego ubrania i omijając je zdaleka, szli dalej, a gdy jeszcze byli ze sto kroków od drugiego krańca kępy, Stacho wszedł na spory pień suchej wierzby i wpatrzywszy

*) Rokicina — gatunek wierzby.

się: „Nie ożył, leży!” — zawołał z radością, chociaż nie bez pewnej obawy. Zatrzymała się znowu gromada, wchodząc kolejno na pień, z którego Stacho pokazywał im wystające z bagna lśniącej czarności djable nogi i ptasi ogon. Uradowani, że Boruta nie daje żadnych znaków życia, i winszując Stachowi tak świetnego czynu, poszli dalej ku Łęczycy, zawsze jednak omijając zdaleka potępieńca i ciągle oglądając się, z obawy, czy się nie zataił, aby niespodzianie na wszystkich zemstę swoją wyrzucić.

Przy pracy w szańcach, właśnie gdy wieść o walecznym czynie Stacha i wyzwoleniu okolicy od Boruty obiegała dokoła, dozorcę przy pomocy tłumaczy wypytywali się chłopków, czy nie spotkali gdzie w przeprawie przez błota pana Regierungsratha*), który wyszedłszy wczoraj po południu w celu rozpoznania miejscowości dla zaprojektowania rowów i budowy grobli, zapewne gdzie uwiązł, gdyż dotąd nie wrócił i przez służbę nie został wynaleziony. Naturalnie wszyscy odpowiadali, że poszukiwanej osoby nie widzieli, a niektórzy dodali, że jeżeli tego pana spotkał Boruta, nim zginął z ręki Stacha, to niezawodnie ten bies przyprawił go o jakie nieszczęście. Wzmianka o Borucie, o zabiciu go wczoraj wieczorem przez Stacha, dała powód do dalszych pytań z jednej, a objaśnień z drugiej strony. Posłano służbę z kilku chłopkami, którzy z pnia wierzbowego zabitego Borutę widzieli, na błota, a tymczasem Stacho, nie wiedząc o tem, ściśle był strzeżonym. W godzinę powrócił jeden z wysłanych służących, mówił coś po niemiecku z oficerem kierującym robotami, i zaraz potem, wśród zdziwienia i oburzenia wie-

*) Regierungsrath — wyraz niemiecki — radca rządowy.

śniaków, Stacho zaprowadzony został pod strażą do więzienia w zarzucie morderstwa, dokonanego na osobie Regierungsratha.

Świeże wówczas zajęcie kraju przez Prusaków i nienawiść, jaką dla nich pałała ludność polska, a więcej jeszcze podszepty złych ludzi, nasuwały władzom myśl, że to było morderstwo polityczne, że Stacho popełnił je przy współnictwie jednych a z wiadomością innych włościan wsi Topoli, lub może i wszystkich okolicznych kmiotków, do robót w szańcach używanych. Doradzano więc, aby surowym i sumarycznym*) wyrokiem świeżą zbrodnię ukarać i dalszym zapobiec. I stałoby się tak może, gdyby prawodawstwo pruskie nie posiadało porządných kodeksów kar kryminalnych cywilnych i wojenných, jak również odpowiednich kodeksów postępowania, i gdyby ściśle stosowanie się do nich nie było przez wyższe i najwyższe władze surowo zalecanem i pilnowanem. Temu to prawodawstwu winni byli Stacho i drudzy kmiecie, że ich nie oddano pod sąd wojenny, ale pod kryminalno-cywilny; że w tej ostatniej drodze słuchano protokółarnie, pod przysięgą, i konfrontowano**) licznych świadków, żadnemu wyłączeniu nie ulegających; że legendę o Borucie, której władze pruskie nie znały i za świeżo wymyśloną zrazu poczytywały, studjowano wszechstronnie i osiągnięto przekonanie, że o istnieniu Boruty, o mieszkaniu jego w podziemiach, które od zamku łączycyckiego aż do Tumu — wedle miejscowych podań — prowadzić mają, o jego licznych

*) Sumaryczny wyrok — wykonany w sposób uproszczony, bez formalności.

**) Konfrontować — stawić na oczu celem sprawdzenia zeznań.

psotach, jakie w okolicy a szczególnie na błotach płał, o przybieraniu przez niego różnych postaci, lud najmocniej i w dobrej wierze był przekonany, wreszcie, że postępowanie Stacha było zawsze moralne i bogobojne. Te wszystkie powody i okoliczności zważywszy, prześwietny łęczycki Criminal-Gericht*), wyrokiem swym, który w aktach z owej epoki podobno dotąd się znajduje, wyrzekł: „że Stacha w zarzucie rozmyślnego morderstwa na osobie łęczyckiego Regierungs-ratha jego królewskiej mości króla pruskiego, a kmiotków w zarzucie współnictwa i jakiegokolwiek udziału w tej zbrodni za zupełnie niewinnych uznaje; niemniej, że samego tylko Stacha za zabójstwo tegoż Regierungs-ratha, bez złego zamiaru i przy wszelkich okolicznościach winę tę łagodzących dokonane, na karę kilkotygodniowego aresztu skazuje“.

Następnie, wskutek tegoż wyroku, aby na przyszłość niewiadomością nikt się zasłaniać nie mógł, przez cyrkularze**) wójtów i burmistrzów, oraz po kościołach z ambon i przez rozlepione na drzwiach władz i na rogach ulic ogłoszenia lud był informowany, że osoby w stroju czarnym, niekrajowym, w aksamitnych z metalowemi jasnymi guzami kaftanach, również aksamitnych do kolan majtkach, czarnych jedwabnych pończochach i pantoflach z sprzączkami, nie są bynajmniej djablami, Borutami, biesami lub innego rodzaju złemi duchami, lecz urzędnikami. Że ludzie ci nie noszą na głowie nietoperzy, ale stosowane, trzyrożne, spłaszczone kapelusze. Że również nie są oni dwuogonowemi, ale że to, co za ptasi

*) Criminal-Gericht — wyr. niem. — sąd do spraw karnych.
**) Cyrkularz — okólnik, zawiadomienie urzędowe.

ogon poczytywano, są to poły od kaftana, — a to, co się na plecach wałęsa, jest to narodowy niemiecki harcap*). Że więc zaleca się dla nich wszelki szacunek i poważanie.

Miało jednak sądownictwo pruskie tę wadę, iż postępowanie i obrona nie były publiczne. I Stacho więc i lud pozostali w przekonaniu, że urzędnik nie mógł przecież być kubek w kubek podobnym do Boruty, że urzędnika mógł istotnie Boruta udusić, a zaś Stacho niezawodnie Borutę uśmiercił. I od tej to epoki**), w której właśnie błota rowami osuszać i groble robić poczęto, bies ten nigdy się już nie zjawia.

*) Harcap — warkocz, jaki dawniej nosili mężczyźni.
**) Od drugiego rozbioru (1793) do roku 1806 Łęczyckie należało do Prusaków.

O DJABLE BORUCIE GAWĘDA

Komuż na wzmiankę Łęczycy nie przyjdzie zaraz na myśl bies Boruta?... Te dwa nazwiska rymuj z sobą koniecznie. Boruta bardziej niżeli sejmik pijacka szlachta i sławne piskorze rozgłosił w Polsce Łęczycę, a dzisiaj bodajże pono on sam broni jej jeszcze od zupełnego w dalszych okolicach zapomnienia.

Mnie przynajmniej, wyznam szczerze, ciekawość widzenia djabelskiego gniazda najgłówniejszym był powodem, że podczas podróży zboczyłem tam o cztery mile drogi. Dla pośpiechu zamiast iść pieszo poszukałem sobie podwoły. Zydek, syn arendarza z poł Łęczycy, zabrał mię z sobą na biedę za kieliszek słodkiej wódki z bajgelem. (Notabene żeby tak tania i czynność żydowska nie zdała się komu podejrzana i nie podała w wątpliwość całej powieści, nawiasem powiedzieć muszę, że droga szła przez las, a mrok jeśnenny był za pasem).

Dobrze już miesiąc wybił się do góry, gdy mój zydek, wstrzymując nagle galopującego konia, triumfalnie wykrzyknął prru! przed gościnnie rozwartą i zieloną sośnią uwieńczoną karczmą. Około wróciła kilka chłopskich wozów; przez uchylone okna bił gwar i dym gęsty tytoniu.

W izbie samej gromada chłopów i kobiet siedziała za stołem, przepijając w kolej wódkę wśród zwykłych oświadczeń i ściskań. Pochwaliwszy Pana Boga i powitawszy arendarza, zasiadłem sobie w kącie przy

ognisku, przysłuchując się zdaleka gawędzie i przysładając grze jaskrawego światła na twarzach młodszej grupy poza stołem.

To przyglądanie się moje snać inaczej zrozumiała siedząca naprzeciw mnie baba, bo popatrzwszy łitośnie na mnie chwilkę, trąciła łokciem chłopą obok siebie i jeła mu po cichu szeptać coś do ucha. Chłop obejrzał się, kiwnął głową, wstał z ławy, przeszedł kilkakroć po izbie, wreszcie uchylając nieco czapki, przy mnie się zatrzymał.

— No, a nie laska to bliżej? wypić i zakąsić, co Bóg dał, z nami?

— Prosimy, bardzo prosimy! — zawołało kilka osób z poza stołu, czyniąc mi miejsce na ławie.

Choć z moim mieszkaniem wcale nie było tak źle, jak mi pocziwi z mego ubioru sądzili, nie chciałem ani tego czynić przykrości, ani sobie odmówić przyjemności przyjęcia serdecznej ofiary. Zasiadłem więc, a litościwa baba, opiekunka moja, zastawiła na stole przedemną kieliszek wódki, chleb i krapkę sera. Po jednej i drugiej kolejce byliśmy już dobrzy znajomi i przerwana na chwilę gawęda rozpoczęła się na nowo. Na zapytanie, skąd i dokąd przyjechałem, opowiedziałem świętą prawdę, jak Bóg przykazał, a potem się wybrałem do Łęczycy, obejrzeć zwaliska zamku i coś nowego o Borucie się dopytać: prosiłem zatem, jeżeli co wiedzą, żeby mi opowiedzieli.

A też posypały się kolejną opowieść za opowieścią. Ale cóż stąd? wszystkie te sprawy Boruty były albo powszechnie znane o djablach szczegóły, albo już przede mną spisane w Klechdach a zarysach doświadczeń zacnego Wóycickiego! Koniecznie chcąc coś

nowego wydostać, nalegałem o coraz więcej i więcej powiastek.

— Ha! toć ja wam chyba jeszcze opowiem, jak szlachta Borutę straciła, ozwał się stary a jary ogromnego wzrostu chłop.

— Co? a no! powiedzcie, ojczel! jak to było?... Nigdy nic o tem jeszcze nie zasłyszał?

— A nu! działoć się to, kiedy w Łęczycy jeszcze sejmiki się odprawiały, to bywało z całej okolicy zbierała się tam szlachta, a piła okropnie, a rąbała się i wrzeszczała czasem to tydzień cały. Jednego razu, podczas takiego sejmiku Boruta zaczął strasznie dokazywać. Dwóch panów szlachty, jak do dom wracali, tak otumaniał, że wleźli spać do chlewa, gdzie jednego świnię zjadły, a drugi pokaleczony ledwie że żywo uszedł. Innego znowu posadził djabeł na środku wody na zgniłem palisku, co tam dawniej młynisko stało, a biedakowi zdawało się, że jest wielkim panem. I Bóg wie, coby się z nim stało, żeby go nie byli spostrzegli przechodzący chłopci i na brzeg nie wynieśli, chociaż się na nich rzucali i do szabli rwał... Kilku innych to tak wprowadził w błoto, że po trzy dni lgnęli w trzęsawicy i wygramolić się nie mogli i podobno niejeden żywo w bloku utonął... Ot! dosyć, tak się czart szlachcie dał we znaki, że się nareszcie wszystka na niego spiknęła albo pojmać go, albo zabić.

Jak tylko z początkiem zimy bagniska lodem stanęły, zgruchnęło się do Łęczycy jakie pięć setni, a może i więcej szlachty, na koniach i piechotą. Wysłuchawszy w kościele Mszy św., dali sobie broń poświęcić, a potem dalej na djabła... Wówczas wokoło Łęczycy było w dziesięcioro tyle blocka a wody, co teraz, a na nich pełno kępisk i zarośli; tam to bies

najwięcej broił, i tam to szlachta jęła się go wynaleźć! Ha! tak rozstawili się w ogromne koło i dalejże na owe trzęsawiska obławą, śpiewając na całe gardło: „Kto się w opiekę“.

Aż tu niezadługo z zarośli wyskoczył wół czarny i drze naosłep w pole... Ba! próżno: gdzie się obróci, to szlachcie koniem zaskakuje drogę i święconą szablą się składa... widzi djabeł, że nie przelewiki, tak dalej nazad w gąszcze, i rycząc przepadł bez śladu. Dopieroż szlachta żałować, że się krótko z biesem nie zabrała, a święconą go kulką nie poczęstowała!... Alić co się zwlekło, to nie uciekło. Pocieszyli się i ruszyli dalej.

Za parę chwil nadeszli znowu na drugą zarosłą kępę i słyszą, że się w krzakach coś rusza... Jak nie dadzą ognia w owe krzaki, aż tu słyhać wrzask i szczęk straszny i z pomiędzy gęstwiny wyskoczy jak oparzony djabeł, ale już nie wołem, we własnej swojej postaci. W pluderkach, lecz kusym fraczku i kapelusiku i składa pokornie ręce i niziuteńko się kłania...

Ha! dopieroż to szlachta jak zahuknie z radości: „Wej! kuso z tobą, psia wiaro!“; wołali jedni. „Żywo chwytać, co mu za swoje oddamy!“; krzyczeli drudzy.

Spodobala się jakoś wszystkim ta rada, jęli go więc zewszzechstron coraz bliżej otaczać. A djabeł wpośrodku na lodzie trzęsie się jak liść osikowy, przeskakuje z nogi na nogę, przewraca oczy, a krzyczy swoim djabelskim językiem (zapewne wołał drugich djabłów z piekła na pomoc, ale żaden się nie pokazał). A tutaj szlachta tuż na niego już naciera!... aż jeden zdjawszy z siebie poświęcony pasek, zarzucił z niego pętlę djabłu na szyję, szarpnął... i ot

tobie, djable!... leży na lodzie, trzepocząc w powietrzu nogami... Dopieroż jak się wszyscy nie cisną ku niemu: spowili go jak dziecko całego sznurami od szkaplerzy, a lipowem łykiem, że się ani ruszyć więcej nie mógł.

Z tak skrepowanym potoczyła się szlachta hurmem na zamek, krótko sprawić z djabła sąd i egzekucja. Nim go stracili, radziby wprzód byli coś się od niego dowiedzieć, ale na nic się nie zdały wszystkie łaciny i zaklinania; bies wciąż warczał tylko jak pies, że go nikt nie mógł zrozumieć. Ale jak święconą kropili go wodą, to się miotał jak wściekły i ryczał, że aż strach słuchać było. Tak, nic z niego wycisnąć nie mogąc, zabrali się co tehu zgładzić go ze świata. Na środku dziedzińca przed zamkiem przebodzono mu serce osikowym kołem, a potem trupa na ogniu spaliwszy, popiół pod próg kościoła zakopali. Oj! tedyż to nastąpiła radość i hulatyka! Trzy dni i noce całe obchodziła szlachta zwycięstwo swoje nad Borutą.

Aleć wnet się przekonali, że się cieszyli przed czasem, i przyszła trwoga a lament. Kiedy po trzydniowej hulatyce zaczęli się rozjeżdżać do domu, djabeł jak wprzód znalazł się znów na bagniskach i począł jeszcze straszniej niżeli kiedy wytwarzać dziwy nad nimi.

— A to bestja djabeł lepsko zadrwił z ludzisków! przyświadczyłem opowiadaczowi, który umilkłszy wpatrywał się mi w oczy, badając, jak mi się powieść jego zdała.

— Ba! otóż że to wcale nie był pono djabeł, jeno szklarz Niemiec, co z Śląska szedł do Łęczycy, zwyczajnie na przedzimię za zarobkiem, a niespodziewanie lichy śmierć znalazło... Ludzie w kilka dni

potem znaleźli na kępie skrzynię ze szkłem potłuczonym, co ją snąć rzucił, jak tam ognia dali... Bies Boruta zdrów i żyw jak dawniej kusi dotąd pod Łęczycą.

— A nie widzielibyście też co ze świeżych jego sprawek mi powiedzieć? zapytałem.

— No, o tych teraz to niema co gadać. Zwyczajnie przycupnął i siedzi cicho, bo się boi o skórę... Jego najmiłsze życie to bywało z szlachtą po sejmikach; jak te ustały i on humor stracił. Dziś to ledwie że czasem kogo w noc zabłąka, nastraszy albo wyśmieje, więcej nic nie słyhać.

— E! nie bajalibyście, kunie! Wszystko to babskie bajdy!... zawołał, podnosząc się z ławy, młody zuchwały parobek i, zwracając się do mnie, dodał: A wy, jeśli Borutę samego widziećcie ciekawi, to nie do Łęczycy, ale jedźcie z nami. On przecie w naszym dworze teraz ekonomem i przeżywa się Borucki.

Huczny śmiech odpowiedział tym słowom i wszyscy, z miejsc swych powstawszy, żegnać się i z karczmy wynosić poczęli. Za chwilę zaturkotały wozy odjeżdżające, wesołe oj da, da, da, dana, dana! rozległo się po rosie i wkrótce wraz z turkotem i tętentem w oddaleniu zgłuchło.

Cichość nastąpiła w gospodniej izbie, świerszcz zaczął grać za piecem, żyd poszedł w kąć odprawić przed spaniem boruchy, a ja, korzystając z resztki dogorywającego w kominie łuczywa, spisałem na kolanie zaświeża zasłyszana tylko co gawędę o djable Borucie.



SPIS RZECZY

	Strona
Z. HAJKOWSKI — Przedmowa	5
I. K. W. WÓYCICKI — Boruta na weselu	9
II. „ — Siwy-Boruta	13
III. W. SZYMANOWSKI — Boruta a Tum	16
IV. KOZERSKI — Ostatni figiel Boruty	18
V. R. ZMORSKI — O djable Borucie gawęda	26

328/9



